

*Czy warto było jechać do Iraku?*¹

W całej historii III RP nigdy jeszcze nie podjęto tak kontrowersyjnej decyzji jak ta o udziale Polski w wojnie przeciwko Irakowi. Choć zyskała ona poparcie większości ugrupowań politycznych, w tym opozycyjnych, a także nie wywołała masowych protestów publicznych jak miało to miejsce w Europie zachodniej (choć opinia publiczna była w tej sprawie wyraźnie podzielona) stała się ona przedmiotem wielu sporów dotyczących zarówno zasadności jej podjęcia, jak i sposobu, w jaki to uczyniono. Co więcej, mimo upływu czasu kontrowersje te nie tylko nie gasną, ale pojawiają się nowe zarzuty wynikające z rozczarowania części elit politycznych, a także opinii publicznej faktem niedostatecznego docenienia roli Polski przez USA. Brak udziału polskich firm przy odbudowie Iraku czy zaostanie reżimu wizowego dla podróżujących do USA uznawany jest za dowód, iż Polska znowu dała się wykorzystać sojusznikowi (silny wpływ myślenia historycznego), ergo udział w operacji irackiej był pozbawiony sensu. Oczywisty wzrost zagrożenia terrorystycznego, czego tragicznym przejawem był „11 marca” w Madrycie, jest kolejnym czynnikiem, który wzmacnia presję na wycofanie wojska z Iraku.

Przeciwnicy takiego rozumowania wskazują rzecz odwrotną: Irak stał się politycznym przełomem. Obok twardego bronięcia zapisów nicejskich w Konstytucji europejskiej toruje Polsce drogę do zwiększenia swych wpływów w relacjach euroatlantyckich i tym samym poprawienia pozycji Warszawy w Europie. „Polska pokazała rogi” – polityczną samodzielność oraz wojskową sprawność – zyskując, po okresie krytyki, szacunek i posłuch w ważnych dla siebie sprawach związanych z bezpieczeństwem kontynentu. Decyzja była więc uzasadniona. Trwałość polskiego zaangażowania nie może być zatem kwestionowana, gdyż oznaczałaby spadek wiarygodności państwa, a po ‘11 marca’ byłaby dodatkowo przyznaniem racji terrorystom.

Oba te podejścia łączą dwa elementy. Przede wszystkim myślenie ahistoryczne: obecne rozczarowania lub satysfakcja mają stanowić dowód, iż udział w wojnie w Iraku był błędem lub decyzją ze wszech miar słuszną, podczas gdy przy jej ocenie trzeba się odnosić do ówczesnych argumentów „za” lub „przeciw”. Przykładem takiej manipulacji są pojawiające się w tle obecnych sporów twierdzenia, iż Polska nie zadbała należycie o swe interesy gospodarcze. Tymczasem w fazie kształtowania się decyzji wspomnianie o kwestiach finansowych uważano by bez wątpienia za rzecz niegodną. Polska wsparła przecież USA w imię solidarności sojuszniczej, a także zgodnie z tradycją walki o wolność uciemiężonych narodów.

¹ Podziękowania za krytyczne uwagi należą się tym wszystkim osobom, które miały możliwość przejrzenia pierwszej wersji tekstu. Większość z nich starałem się uwzględnić przy dalszej pracy nad nim.

Po drugie, ścieranie się obu argumentacji jest walką o kształt polskiego myślenia o roli państwa w polityce międzynarodowej. W zależności od tego, która interpretacja zwycięży, polska polityka zagraniczna może zyskać mandat do działań wykraczających poza najbliższy region, a tym samym stać się atrakcyjniejszym partnerem dla głównych państw europejskich i USA. W przypadku zaś, gdy górę weźmie przekonanie o błędzie, Irak stanie się najprawdopodobniej końcem marzeń o Polsce jako państwu zdolnemu do angażowania się w kluczowe problemy współczesnego bezpieczeństwa światowego. Odbije się to także niekorzystnie na myśleniu o bezpieczeństwie narodowym, w którym wzmocnieniu ulegną elementy „historyczne” (kompleks wykorzystywania i porzucenia) zawężające kwestie bezpieczeństwa do obrony własnego „podwórka”.

Bilans: cele a rzeczywistość

Niezwykle trudno jest dokonać bilansu polskiej postawy wobec kryzysu irackiego. Nie istnieje bowiem ani jeden punkt odniesienia, który można by tu uznać za decydujący. Przede wszystkim Polska nie czuła się zagrożenia irackiego, w taki sposób, w jaki odczuwały to USA czy nawet Wielka Brytania. Nie miała też bezpośrednich interesów geopolitycznych w regionie. Niegdyśiejsza obecność gospodarcza, a także reprezentowanie interesów amerykańskich od czasów pierwszej wojny w Zatoce to za mało, aby uznać Warszawę za regionalnego gracza. Na decyzje o poparciu amerykańskiej interwencji – tak jak była ona przedstawiana przez polityków rządu i opozycji – złożył się zatem szereg elementów o bardzo różnej i zmieniającej się wadze.

Wśród nich znalazło się zarówno przekonanie, że reżim iracki zagraża bezpieczeństwu światowemu, jak i argument o konieczności okazania solidarności sojuszniczej USA. Czynnikiem silnie wpływającym na dyskusję była też kwestia wyzwolenia Irakijczyków spod krwawej tyranii i stworzenia im szansy na budowę lepszej państwowości. Interwencja USA była więc postrzegana w podobny sposób jak zaangażowanie Ameryki w Europie po II wojnie światowej; jako pomost do nowego lepszego świata dla społeczeństw Bliskiego Wschodu.

Były też nigdy wprost nie wyartykułowane, ale bez wątpienia istotne, argumenty natury politycznej. Wsparcie USA uważano za wyjątkowo korzystne z punktu widzenia wzmocnienia sojuszu z Ameryką, a także wyciągnięcia zysków ze współpracy politycznej, wojskowej czy gospodarczej. Było to tym bardziej kuszące, że zachowanie głównych europejskich partnerów Polski – Francji i Niemiec – nie dawało niczego poza wyraźnym narażeniem się Waszyngtonowi. „Utarcie nosa” Paryżowi i Berlinowi, nawet jeśli było tylko

konsekwencją podjętej decyzji, było bez wątpienia swego rodzaju psychologicznym odreagowaniem na nieustające narzekania pod adresem Polski, których część wynikała z niechęci zadania sobie intelektualnego wysiłku dla zrozumienia specyfiki sytuacji Warszawy. I wreszcie, Irak miał też swój wewnętrzny Polski kontekst: tracący poparcie rząd starał się poprawiać sobie notowania sukcesami zagranicznymi. Być może także – o czym pisał Janusz Rolicki – stanowisko rządu SLD wynikało z konieczności dalszego uwiarygodniania się środowisk postkomunistycznych w oczach Ameryki.²

Pewne jest natomiast, że nikt nie potrafił jasno odpowiedzieć na pytanie: **co konkretnie odróżniało sytuację Polski od sytuacji większości państw w całej Europie, że konieczne było nie tylko tak silne, polityczne zaangażowanie po stronie USA, ale i wysłanie wojsk w rejon konfliktu?**

I.

Spośród trzech argumentów i zarazem celów, które Polska wytaczała w dyskusji, tylko jeden – uwolnienie Irakijczyków od krwawego reżimu – okazał się wykonalny. Przyniesienie demokracji okazało się być trudne w realizacji, a zarówno politycy jak i wojskowi wydają się być dzisiaj o wiele bardziej sceptyczni w ocenach szans na demokratyzację Iraku, niż w okresie poprzedzającym wojnę.

Twierdzenie, iż interwencja wojskowa jest niezbędna ze względu na posiadanie przez Bagdad arsenału broni biologicznej i chemicznej oraz prac nad atomową, co czyniło zagrożenie niemalże natychmiastowym, nie znalazło do tej pory potwierdzenia w faktach. Nie był to wprowadzić centralny argument w dyskusji uzasadniającej polskie poparcie dla siłowego rozwiązania problemu irackiego, ale miał na nią istotny wpływ. Podobnie zresztą jak zarzut wspierania przez reżim iracki Al-Qaidy. W obu wypadkach władze polskie zawierzyły lub dały się przekonać argumentacji amerykańskiej. Choć był to zapewne wyraz zaufania i dobrej wiary, sytuacja ta pokazała jednak jak duże jest polityczne ryzyko opierania się na informacjach, których nie można samodzielnie, lub przy udziale większej ilości sojuszników zweryfikować.

Nie zmienia to jednak w niczym faktu, iż jeśli oba zarzuty miałyby ostatecznie okazać się fałszywe to będzie to jak najbardziej także polski problem. Uciekanie od odpowiedzialności oznaczałoby, że decyzja o zaangażowaniu nie była podejmowana w odniesieniu do problemu irackiego jako takiego, lecz do – wtórnego aspektu całej sprawy – samego wsparcia USA. Tym samym Polska sama dałaby dowód na to, iż dba jedynie o to,

² J. Rolicki, *Wojna z potrzeby uwiarygodnienia*, „Rzeczpospolita” z 8.04.2003.

aby znaleźć się po stronie Waszyngtonu bez względu na to, czy polityka amerykańska kieruje się słusznymi czy błędnymi założeniami. Za taką interpretacją przemawiało niestety rozminięcie – nie po raz pierwszy – sposobu myślenia o przywództwie USA z konkretnym działaniem politycznym. Jeszcze w styczniu 2003 r. przemawiając w Narodowym Uniwersytecie Obrony w Waszyngtonie prezydent Aleksander Kwaśniewski przekonywał: „Dzisiejsze przywództwo Stanów Zjednoczonych w świecie jest niekwestionowane i powinno być doskonałe. Jednak trzeba jasno powiedzieć: aby stało się efektywne, musi być oparte na współpracy z innymi i oparte na zasadach akceptowanych przez innych”³. Dlaczego zatem Polska poparła USA w działaniu będącym największym od końca zimnej wojny przejawem amerykańskiego unilateralizmu i lekceważenia zasad akceptowanych przez innych?

Założmy jednak, że takie stawianie problemu jest nieuczciwe. Że zaangażowanie w Iraku było przede wszystkim kwestią solidarności z Ameryką w jej walce ze światowym terroryzmem, którego stała się niekwestionowaną ofiarą. W tym sensie obalenie reżimu irackiego było konsekwencją rozprawy z rządzonym przez Talibów Afganistanem. Ten argument wydaje się być najmocniejszy, biorąc pod uwagę, że władze polskie zawierzyły dowodom, które po wojnie okazały się być pozbawione podstaw. Paradoks polega jednak na tym, że motyw ten został bardzo mocno osłabiony przez sposób, w jaki po zakończeniu operacji irackiej część polityków zaczęła domagać się kontraktów dla polskich firm oraz zniesienia obowiązku wizowego, a przynajmniej wyłączenia obywateli Polski z zaostrzonych procedur wprowadzanych na amerykańskich lotniskach (m.in. zostawiania odcisków palców). Za okazanie „solidarności sojuszniczej” nigdy bowiem nie żąda się zapłaty.

II.

Równie trudno udzielić odpowiedzi na pytanie, czy sposób postępowania polskich władz wobec narastającego kryzysu irackiego był właściwy, tzn. w jakiej mierze działania te w sposób niepotrzebny przyczyniały się do zaostrzenia sytuacji, a w jakiej wynikały z prawa do forsowania polskiego interesu, nawet jeśli nie spotykało się to z uznaniem wszystkich partnerów.

Uprawnione jest jednak stwierdzenie, iż Polska znalazła się w sytuacji politycznej ofiary lub zwycięzcy bardziej wskutek decyzji swych sojuszników – tj. Francji, Niemiec, USA – narzucających określony kontekst i klimat dyskusji, niż w wyniku własnych starań. W ten sposób ujawnił się stopień zależności, lub wrażliwości Polski na zmiany w relacjach

³ Cytat za M. Siwiec, *Nowa pozycja Polski*, „Rzeczpospolita”, 24.01.03

euroatlantyckich. Dlatego też, choć spór na przysłowiowych zwolenników i przeciwników 'listu 8' pozostanie nierozstrzygnięty, wydaje się, iż zarówno dla jednych jak i drugich podatność Polski na zewnętrzne wstrząsy i próby wygrywania jej przeciwko Europie, lub Ameryce stanowią istotną lekcję na przyszłość. Nie oznacza to oczywiście, że polityka polska nie miała możliwości przeciwstawiania się tego rodzaju naciskom. W przypadku kryzysu irackiego – bez względu na ocenę słuszności podejmowanych działań – władze polskie zdawały się jednak w ogóle nie brać pod uwagę ryzyka związanego z kontekstem swej bieżącej polityki zagranicznej, na który nałożyła się bardzo nerwowa końcówka negocjacji akcesyjnych z UE, ukazująca narastające problemy związane z warunkami finansowymi rozszerzenia, oraz, z drugiej strony, rozkwit relacji z USA. Podczas swej wizyty prezydent Bush nazwał prezydenta Kwaśniewskiego „najlepszym przyjacielem Ameryki”, a rząd zdecydował o zakupie samolotu wielozadaniowego F-16 w koncernie Lockheed. W efekcie Warszawa doskonale wpisała się w amerykański, a także francusko-niemiecki, podział Europy, na tych którzy byli albo „z Ameryką, ale przeciw Ameryce” i tych, którzy mogli zajmować stanowisko oraz tych, którzy powinni byli milczeć. Osobną kwestią, która bez wątpienia świadczy na niekorzyść działań Polski są wydarzenia, które mając na pozór marginalne znaczenie decydowały o negatywnym odbiorze działań Warszawy. Wydarzeń takich było kilka:

- Wywiad prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego dla dziennika 'Tagesspiegel', z listopada 2002, w którym zadeklarował on bezgraniczne (*unbeschränkt*) zaufanie do prezydenta Busha;
- Fakt podpisania 'listu 8' bez powiadomienia/konsultacji jego z Paryżem czy Berlinem
- Wypowiedź (przejęzyczenie) ministra Cimoszewicza przed sejmową komisją spraw zagranicznych, w której stwierdził on, iż Polska poprze uderzenie na Irak nawet w sytuacji braku mandatu RB ONZ
- Opublikowanie zdjęć pokazujących udział jednostki GROM w operacji Iraku, w sytuacji, gdy była to operacja tajna.
- Nieudana próba wykorzystania sztabu Korpusu Północ-Wschód w Szczecinie do operacji stabilizacyjnej w Iraku w wyniku nie upewnienia się, czy Niemcy gotowe były przystać na takie rozwiązanie.
- Skandal ze złym odczytaniem daty produkcji rakiet Roland, co sugerowało, iż Francja dostarczyła je mimo obowiązującego embarga.

Przy zatem odrobinie większej politycznej przezorności oraz umiejętności spojrzenia na swe działania „oczami” innych, Polska mogła uniknąć stania się jednym z przedmiotów sporu na tle Iraku. Choć nie było praktycznie żadnych szans na to, aby wpłynąć na

stanowisko USA, bądź Francji i Niemiec polityka polska mogła – pozostając przy swoim poglądzie – zachować rozsądny dystans i opanowanie. Zamiast tego byliśmy świadkami ciągu przedziwnych zdarzeń, które obnażyły istotne słabości zaplecza polskiej polityki zagranicznej do działania pod presją czasu i wydarzeń.⁴

III.

Zaangażowanie w Iraku ukazało też chwiejność opinii publicznej, która podzielona niemalże na pół w sprawie poparcia Polski dla amerykańskiej akcji, była już w 60% przeciwna udziałowi wojska polskiego.⁵ Co ważne, wśród argumentów przeciwko militarnemu zaangażowaniu dwa odgrywały bardzo ważną rolę z punktu widzenia przyszłości: po pierwsze, że Polskę nie stać na tego rodzaju „zamorskie wyprawy”; po drugie, że armia polska nie jest przygotowana do skutecznego wypełniania takich misji i nie jest w stanie skutecznie zapewnić bezpieczeństwa swym żołnierzom. Choć do Iraku jechali wyłącznie ochotnicy, a w zawód żołnierza wpisane jest ryzyko utraty zdrowia lub życia, opinia publiczna najwyraźniej nie jest gotowa na ponoszenie ofiary w sytuacji, gdy bezpieczeństwo państwa nie jest bezpośrednio zagrożone. Wydaje się więc zatem, iż – przy rosnących problemach gospodarczych – operacja iracka, a także ewentualne przyszłe zaangażowania wymagają o wiele większej pracy ze strony decydentów i polityków, aby przekonać społeczeństwo o konieczności ponoszenia tego typu kosztów. Argumenty historyczne – „Gdańsk 1939”, „Jałta”, walka „za wolność waszą i naszą”⁶ – przestają pełnić rolę mobilizacyjną, ukazując raczej brak poważnej dyskusji w elitach politycznych. W ten sposób nie da się pozyskać poparcia społecznego dla działań niosących w sobie poważne ryzyko polityczne, a także militarne. Tym bardziej, że nigdy nie ma pewności, czy operacja

⁴ Koordynacja między różnymi ośrodkami władzy w Polsce, tj. MZS, MON, KPRM oraz Pałacem Prezydenckim jest ogólnie rzecz biorąc dobra. Po 1 maja trudności będą jednak większe i istnieje realne ryzyko, że te urzędy, które będą głównie zajmować się kwestiami polityki europejskiej, czy też unijnej, będą w o wiele większym stopniu zdeterminowane w przeciwdziałaniu sporom z głównymi państwami UE, co – w sytuacjach takich jak iracka – może oznaczać konflikt z nastawionym atlantycko ośrodkami władzy odpowiedzialnymi za kwestie bezpieczeństwa narodowego. Ponadto, po 1 maja br. aktywnym graczem polskiej polityki zagranicznej stanie się Sejm i Senat oraz polscy deputowani PE, gremia nie mające do tej pory istotnego, a w przypadku PE żadnego, wpływu na działania polskiej dyplomacji.

⁵ Poglądy opinii publicznej zmieniały się w miarę upływu czasu i wykazywały dużą niespójność opinii, tzn. przekonaniu, że udział Polski w wojnie wzmocni jej pozycję międzynarodową towarzyszyło z kolei obawa, iż Polska jest za słaba, aby odgrywać istotną rolę na arenie międzynarodowej (odpowiednio 59% i 50%, CBOS 29 maja-1 czerwca 2003). Jednakże, liczba przeciwników polskiej obecności wojskowej w Iraku była zawsze stabilna: 53% przeciwko i 41% za (PBS, 5-6 lipca 2003); 53% przeciwko i 40% za (CBOS 5-8 września 2003), oraz 57% przeciwko i 37% za (CBOS, 3-6 października 2003).

⁶ Argumenty te padały m. in. w trakcie sejmowej debaty nad Informacją rządu w sprawie udziału polskiego kontyngentu wojskowego w składzie sił koalicji międzynarodowej dla wymuszenia przestrzegania przez Irak rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, z 26.03.03.

stabilizacyjna nie zamieni się w operację wymuszania pokoju: mając zapewniać bezpieczeństwo Irakijczykom, polscy żołnierze znaleźli się w środku *de facto* wojny domowej.

Gdyby zatem przyjrzeć się polskim zyskom i stratom związanym z postawą wobec kryzysu irackiego nie przedstawiają się imponująco. Trudno też mówić, że „Irak” spełnił oczekiwania, ponieważ nie były one wyraźnie zarysowane, lub – z wyjątkiem uwolnienia Irakijczyków spod dyktatury – niewykonalne. Z czysto politycznego punktu widzenia „Irak” nie dał zatem, jak na razie, niczego istotnego, poza poczuciem większej pewności siebie i wiary we własne siły, które nie będzie jednak trwać wiecznie. O sukcesie można zatem mówić jedynie w aspekcie wojskowym. Nie jest to oczywiście mało, ale zaangażowanie militarne było przecież metodą na osiągnięcie korzyści politycznych. Jeżeli wkład militarny ma stać się „czymś” więcej niż sukcesem technicznym musi być przełożony na chociażby nowe spojrzenie na reformę armii, czy w ogóle myślenie o roli Polski w zmieniających się relacjach euroatlantyckich. Lekcja Iraku albo zapoczątkuje istotne przewartościowanie w polskiej polityce zagranicznej, albo stanie się jednorazowym wyskokiem, o którym wszyscy jak najszybciej będą chcieli zapomnieć. Nawet zatem jeśli uznać, że bezpośredniego sukcesu nie było, trzeba teraz zrobić wszystko, aby go ostatecznie odnieść. Nie w wymiarze finansowym, ale politycznym, pokazującym, w którą stronę powinna zmierzać Polska, aby swój nagły przyływ znaczenia przełożyć na wzmocnienie pozycji międzynarodowej, lub przynajmniej dokonać przeglądu niektórych założeń swej polityki bezpieczeństwa.

Co dalej?

I. „Klęska urodzaju” czy koniec miesiąca miodowego?

Jest w tym swego rodzaju paradoks, że postawa Polski wobec konfliktu w Iraku, będąc najmocniejszym do tej pory świadectwem politycznej bliskości z USA ujawniła zarazem – po raz pierwszy z taką siłą – obawy, iż relacje te stały się wartością w samą w sobie zastępując krytyczny namysł nad ich politycznym celem automatyzmem działania. Do tej pory zarzuty takie płynęły głównie z Europy zachodniej lub skrajnych skrzydeł obu części polskiej sceny politycznej. Tym razem jednak ich wyrazicielem były osoby, których nie można uznać za ukąszone przez jedną z odmian „antyamerykanizmu” bądź „pacyfizmu bogatych”; schorzeń, które stały się dyżurnym i przez to miałym wytłumaczeniem postaw kwestionujących słuszność polityki USA. Zarówno Tadeusz Mazowiecki jak i Zbigniew Brzeziński, o których tu mowa, nie tylko poddali krytyce sposób postępowania administracji amerykańskiej, ale i sformułowali kilka niezwykle mocnych przestróg pod adresem zarówno

stylu jak i treści polskiej polityki wobec Waszyngtonu⁷. Istotę ich uwag można by sprowadzić do następujących punktów: myśleć samodzielnie, bo tylko w ten sposób Polska może zagwarantować sobie szacunek po obu stronach Atlantyku; brać pod uwagę możliwe komplikacje polityczne wynikające z podejmowanych akcji, oraz nie popadać w narodowe tromtadractwo i powściągać chęć niekończącego się manifestowania oddania Ameryce.

Głosy te, a także wiele im podobnych, były ważne także i z tego względu, że skierowały dyskusję na temat relacji polsko-amerykańskich z wymiaru euroatlantyckiego – Polska między Europą a USA – na kwestie bilateralne – jaką politykę wobec USA powinna prowadzić Polska, aby umocnić swe znaczenie w Ameryce. Choć obie rzeczy są ze sobą ściśle powiązane do tej pory akcent w debacie położony był na pierwsze zagadnienie. Przyczyna tego była oczywista. Po sukcesie procesu rozszerzenia NATO i przy braku zasadniczych problemów w stosunkach dwustronnych, które przykuwałyby uwagę opinii publicznej i polityków, przyszłość jawiła się optymistycznie. Krytyczne spojrzenie uważane było zatem na przysłowiowe szukanie dziury w całym. Dopiero narastające napięcia między Ameryką a Europą, a dokładniej między różnymi wizjami Ameryki i Europy, dały powód do obaw, iż mogą one ustawić politykę polską przed poważnymi dylematami. Tak też się stało, mimo iż przez długi czas nie przyjmowano tego do wiadomości twierdząc, iż Polska nie akceptuje alternatywy „albo Ameryka, albo Europa”. W tym sensie kwestia iracka zamyka ten rozdział dyskusji. Wybór jest, ma swą cenę i konsekwencje. Nie musi to jeszcze wcale oznaczać, że pokusa zaczarowywania rzeczywistości i wiara w magię słów ustąpią miejsca politycznemu działaniu. Niemniej ryzyko „atlantyckiego szpagatu” jest już na tyle rozpoznane, że dalsze koncentrowanie się na nim i opisywanie go wydaje się być już dziś niecelowe.

Tym czego zaś brakuje to przemyślenie ‘polskiej polityki amerykańskiej’, tzn. jaki jest polityczny cel sojuszu z USA, oraz jakie są szanse i przeszkody jego osiągnięcia. Wydaje się bowiem, iż tym co grozi tym relacjom jest swego rodzaju przerost formy nad treścią, a w efekcie marginalizacji znaczenia Polski dla USA. Wspomniany Zbigniew Brzeziński ujął to następująco: „Nie mam nic przeciwko temu, że Polska jest obecna w Iraku, jeżeli potrafi wyciągnąć z tego konkretne korzyści, zamiast zachłystywania się tym, że jest niby wielkim sojusznikiem Ameryki. Może tak to wygląda z perspektywy Warszawy, ale nie jest w taki sposób widziane w Stanach. Poparcie Polski dla USA, obecność wojska polskiego w Iraku są cenione, Polska ma dobrą markę w Ameryce, ale powinna unikać przesadnych i jednostronnych objawów lojalności czy podpisywania kolektywnych ‘lojalek’.”⁸

⁷ Zob. wywiad T. Mazowieckiego dla GW z 8.05.2003 oraz wywiad ze Z. Brzezińskim także dla GW z 7.10.2003.

⁸ Wywiad ze Z. Brzezińskim także dla GW z 7.10.2003.

Potrzebna zmiana stylu

Zmiana stylu polskiej polityki amerykańskiej powinna stać się zatem pierwszym zadaniem. Dotychczasowy język i sposób prezentacji relacji polsko-amerykańskich jest niebezpieczny, ponieważ stwarza nie mające pokrycia w rzeczywistości wrażenie, iż Polska jest drugim po Wielkiej Brytanii głównym europejskim sojusznikiem USA. Tak nie jest z tej prostej przyczyny, że zarówno polityczne, wojskowe jak i finansowe możliwości Warszawy są dalece niewystarczające. Polski wkład w kampanię iracką był bez wątpienia cenny, ale to jeszcze za mało, żeby ogłaszać geopolityczne trzęsienie ziemi w Europie. Głównymi sojusznikami Waszyngtonu pozostają więc w dalszym ciągu poza Londynem, Berlin – ze względu na pozycję Niemiec i zasoby finansowe niezbędne do stabilizacji Afganistanu, a także Iraku, oraz Paryż, którego potencjał militarny i doświadczenie w misjach ekspedycyjnych są nie do przecenienia.⁹ Znaczenie polskiego wkładu było bowiem w dużej mierze wynikiem pozostania Francji i Niemiec poza Irakiem. Ich ewentualne wejście do gry pozbawi Polskę części splendoru, choć trafniejsze wydaje się być stwierdzenie, iż przywróci właściwe proporcje do oceny roli i znaczenia Warszawy.

Po drugie, cukierkowy obraz współpracy stwarzał nazbyt wysokie i nierealne oczekiwania, których niespełnienie może stać się przyczyną jej regresu. Nie kwestionując wagi kulturowych czy opartych na osobistych więziach podstaw dobrej atmosfery kontaktów z Ameryką, polityka amerykańska kieruje się przede wszystkim własnym interesem. To zaś oznacza, że pewne rzeczy nie będą forsowane tylko dlatego, aby sprawić przyjemność polskim przyjacielom. Kwestia zniesienia obowiązku wizowego, wywiązywanie się offsetu za kontrakt na zakup samolotu wielozadaniowego, czy przekazywanie na bardzo korzystnych warunkach uzbrojenia należą do tych spraw, gdzie interesy ekonomiczne i bezpieczeństwa będą odgrywać główną rolę. Liczenie na nieustającą wspaniałomyślność może okazać się zawodne.

...i znalezienie nowej treści

Sama zmiana retoryki to jednak za mało. Potrzebne jest nowe podejście do relacji z USA, w którym wyraźnie zarysowany został był ich polityczny cel oraz sposób jego osiągnięcia. Dotychczasowe impulsy nadające współpracy polsko-amerykańskiej ponadprzeciętne znaczenie pomału zanikają.

⁹ W Polsce dominuje spojrzenie na stosunki francusko-amerykańskie przez pryzmat politycznej rywalizacji i podgrzewającej napięcia retoryki. Choć obie rzeczy mają miejsce nie przeszkadza to rozwojowi współpracy wojskowej. Francja ma pod tym względem w USA notowania bez porównania lepsze niż wszyscy pozostali, z wyjątkiem Wielkiej Brytanii, europejscy sojusznicy.

Pierwszym z nich był sukces polskiej transformacji. Polska stała się swego rodzaju nagrodą dla USA za wygraną walkę z komunizmem¹⁰, co w dużej mierze przesądziło o amerykańskim zaangażowaniu w Polsce, a następnie całym regionie. Atrakcyjność „polskiego modelu przemian” dla polityki amerykańskiej jest dzisiaj bez porównania słabsza niż na początku ubiegłej dekady. Tam, gdzie było to możliwe – głównie w całej Europie środkowej i części południowej – został on skutecznie wprowadzony w życie. Tam, gdzie okazało się to niewykonalne – głównie na obszarze b. ZSRR – nie ma szans na szybkie pojawianie się nadziei na nowy początek. Nie należy oczywiście zakładać, że polskie doświadczenia związane z np. transformacją gospodarczą przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie z punktu widzenia działań Waszyngtonu na Bliskim Wschodzie. Będą one jednak pełnić rolę bardziej techniczną niż podtrzymującą dynamikę relacji politycznych z USA.

Drugim impulsem było przeforsowanie przez USA decyzji o rozszerzeniu NATO. W ten sposób stworzony został bodaj najsolidniejszy fundament polskiej polityki zagranicznej nadający jej silnie atlantycki charakter. Trudno sobie wyobrazić, aby akurat ten rys polityki polskiej uległ zasadniczej zmianie i Polska przestała widzieć w USA istotnego partnera politycznego. Nie byłoby to w każdym razie pożądane. Nie zmienia to jednak faktu, że impuls wywołany przyjęciem Polski do NATO wygasa. Po pierwsze, nie można w nieskończoność szukać potwierdzenia dla bieżących wyborów politycznych w przeszłości. Okazywanie wdzięczności musi mieć swój kres. Po drugie, przemianie ulega charakter NATO. Jest to efekt zarówno pozytywnej ewolucji w obszarze twardego bezpieczeństwa w Europie jak i – potwierdzającej to – zmiany w priorytetach USA. Europa nie jest już bowiem postrzegana przez amerykańskich planistów jako miejsce poważnego konfliktu militarnego, który wymagałby udziału USA. **Z tego względu, jakiegokolwiek działania, u którego podłoża leżą obawy o słabnięcie lub utratę amerykańskich gwarancji militarnych jest pozbawione sensu.** Takie podejście przesądza o biernym (ponieważ motywowanym lękiem) podążaniu śladem USA i ustawia politykę polską w pozycji słabszego. W najlepszym razie nie przyniesie to żadnych wymiernych zysków. W najgorszym może zaś spowodować wzrost poczucia zagrożenia atakami odwetowymi, jak ma to miejsce obecnie w związku z sytuacją w Iraku i po madryckim „11 marca”.

Czym innym jest natomiast współdziałanie, którego celem jest wzrost pozycji politycznej lub przyczynienie się do rozwiązania konkretnego problemu. Wtedy jednak trzeba zadać sobie trud i odpowiedzieć na kilka pytań. Po pierwsze, czemu ma służyć oczekiwany wzrost pozycji, tzn. jak ma być przełożony na konkretne działania i jaka ma być jego miara. Po drugie, jak przekonać społeczeństwo, że warto podjąć ryzyko. I po trzecie, czy operacje

¹⁰ D. Dunn, *Polska – nowy model sojusznika Ameryki?*, w: O. Osica, M. Zaborowski (red.), *Nowy członek „starego” sojuszu. Polska jako nowy aktor w euroatlantyckiej polityce bezpieczeństwa*, Centrum Stosunków

militarne są rzeczywiście tym obszarem, w którym Polska może uzyskać przewagę komparatywną, a tym samym odnieść realne korzyści.

Wydaje się to być wątpliwe z powodu względnej słabości militarnej Polski. O ile armia będzie zapewne dobrym partnerem w operacjach *stricte* pokojowych, jej udział w intensywnych działaniach wojskowych po stronie USA nigdy nie dorówna wkładowi brytyjskiemu, a tylko taki może przynieść zyski polityczne przewyższające potencjalne straty. Po drugie, choć prawdą jest, że większość społeczeństwa polskiego intuicyjnie popiera promowaną przez Roberta Kagana kooperowską zasadę działania¹¹ wobec państw i przywódców łamiących zasady porządku międzynarodowego, błędne wydaje się założenie, iż przekłada się to niejako automatycznie na zgodę na zaangażowanie militarne.

Rysujące się coraz silniej na tle Iraku zderzenie polskich rozczarowań z amerykańskim znużeniem Polską trzeba zatem wykorzystać do odnowienia podstaw polsko-amerykańskiego partnerstwa. Koncentrowanie się na przenoszeniu baz wojskowych czy budowaniu systemu obrony przeciwrakietowej nie da politycznych impulsów na przyszłość. Nie jest to bowiem ten rodzaj obecności amerykańskiej, który zadecyduje o przyszłości Polski. Rozszerzenie UE i NATO w połączeniu ze stagnacją lub regresem na Wschodzie oznacza, iż zasadnicza zmiana geopolityczna w regionie dobiega końca, a wraz z nią zmianie musi ulec rodzaj i charakter aktywności USA. Z państwa wspierającego przemiany ustrojowe i zapewniającego psychologiczną potrzebę bezpieczeństwa Ameryka musi w większym stopniu stać się partnerem do prowadzenia wspólnych przedsięwzięć w obszarze gospodarki i polityki, czy wymiany naukowej. Wydaje się też – jeżeli uznać zagrożenie związane z terroryzmem i przestępczością zorganizowaną za wyznaczające nowe podejście do bezpieczeństwa – filarem współpracy polsko-amerykańskiej powinny stać się kwestie współpracy policyjnej, wywiadowczej i bezpieczeństwa publicznego. W ten sposób Polska mogłaby wkomponować się we współpracę euroatlantycką, która w tym obszarze będzie stawać się o wiele ważniejsza niż kwestie militarne.¹² Od razu trzeba jednak zaznaczyć, iż jakiegokolwiek marzenia o Polsce jako „transatlantyckim pośredniku” są z góry skazane na niepowodzenie. I nie dlatego, że nie pozwolą na to Niemcy, Francuzi czy Brytyjczycy, ale dlatego, że trudno uwierzyć, aby poważnie brali pod uwagę taki scenariusz sami politycy amerykańscy. Polski wkład w relacje Europy i Ameryki, który zarazem pozwoliłby na

Międzynarodowych, Warszawa 2002, s. 132.

¹¹ „Między sobą musimy przestrzegać prawa, lecz kiedy działamy w dżungli, musimy postępować zgodnie z prawem dżungli”, cyt. za R. Kagan, *Potęga i Raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, ze wstępem A. Szostkiewicza, Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2003, s. 87.

¹² Podczas gdy po „11 września” cała uwaga mediów i opinii publicznej skupiała się na rosnących napięciach między Ameryką i Europą spowodowanych m.in. działaniami Pentagonu, w tle rozwijała się współpraca amerykańskiego Departamentu Spraw Wewnętrznych i jego europejskich odpowiedników z udziałem Komisji Europejskiej. W ten sposób udało się m.in. uzgodnić zasady przekazywania przez europejskich operatorów lotniczych danych nt. pasażerów podróżujących do USA.

zacieśnianie stosunków dwustronnych, powinien polegać na sprzyjaniu Ameryce w Europie, i Europie w Ameryce. Ale tylko takiej Ameryce, która chce przewodzić, a nie dowodzić, i tylko takiej oczywiście Europie, która chce powstawać we współpracy, a nie w opozycji do Ameryki.

II. Umarł Weimar, niech żyje Weimar?

Obok wyzwań dla współpracy z USA, kryzys iracki ujawnił także problemy w polityce europejskiej. Jak już wspomniano były one w większym stopniu rezultatem sposobu, w jaki Polska komunikowała swe decyzje, a także kontekstu całej dyskusji: zachowania tandemu francusko-niemieckiego wobec państw europejskich, politycznej konfrontacji między USA a Francją i Niemcami, a także działań administracji amerykańskiej noszącej w sobie znamiona postawy „divide et impera”. Z polskiego punktu widzenia najistotniejsze było ujawnienie się po raz pierwszy z taką siłą różnic między Polską, a Francją i Niemcami. W obu wypadkach inne było ich tło.

Trójkąt wzajemnych pretensji

Pogłębiający się brak zaufania i rosnąca irytacja w relacjach polsko-francuskich pojawił się bezpośrednio po 1989 r. Tradycyjną kością niezgody były odmienne podejścia do problemów bezpieczeństwa europejskiego, w tym roli i miejsca USA. Gdy Polska uważała, iż paliwem polityki francuskiej jest wyrastający z gaullizmu antyamerykanizm, Paryż patrzył na działania Warszawy jako pozbawione krytycznego namysłu podążanie za Waszyngtonem. Drugim przedmiotem oskarżeń były kwestie związane z rozszerzeniem i kształtem UE. W Polsce przeważała opinia, iż francuskie poparcie dla otwarcia UE na wschód było nieszczerze i obliczone na opóźnianie całego projektu. Co więcej, od końca ubiegłej dekady coraz częściej pojawiały się opinie, iż Paryż razem z Berlinem pragnie stworzyć tzw. twardy rdzeń Unii, aby w ten sposób uciec przed nowymi członkami.

Irak nie tylko potwierdził zatem siłę polsko-francuskich stereotypów, ale obnażył obustronną ignorancję. W Polsce z trudem przebijała się do świadomości polityków i komentatorów waga i rola wewnętrznego „problemu arabskiego” we Francji, która jest jednym z istotnych czynników kształtujących politykę Paryża wobec Bliskiego Wschodu. We Francji zaś zupełnie nie brano pod uwagę, iż zarzucanie USA łamania prawa międzynarodowego przy jednoczesnej bliskiej współpracy z Rosją w Radzie Bezpieczeństwa ONZ uchodzi w Polsce za szczyt politycznej hipokryzji.

Podobne zarzuty – słabe poparcie dla rozszerzenia UE, w tym wyolbrzymianie problem migracji zarobkowej, oraz chęć stworzenia zamkniętego dla m.in. Polski kręgu w

ramach Unii – odnosiły się do Niemiec. W przeciwieństwie jednak do stosunków z Francją, relacje polsko-niemieckie obarczone są także od lat powrotem historii (odszkodowaniami za pracę przymusową, projektem Centrum przeciwko Wypędzeniom, problemem „Berlinki” a ostatnio groźbami pozwów przeciwko państwu polskiemu za przejęty majątek ponemiecki), które od kilku lat coraz silniej wpływają na postrzeganie polityki Berlina w Polsce. Co warte podkreślenia, ów spór miał jednak niezwykle ciekawe podłoże strukturalne. Irak stał się dla Berlina i Warszawy momentem narodzin nowych postaw politycznych, manifestacją swej samodzielnej roli, swego rodzaju dojrzałości do bycia odważnym w akcentowaniu własnych interesów. Owa pewność siebie pokazała jednak swoje granice: oba państwa znalazły się na przeciwległych krańcach m.in. w wyniku wiernego podążania za Francją w przypadku Niemiec, i USA w przypadku Polski.

Narastająca od początku lat 90-tych rywalizacja, z coraz częstszymi znamionami politycznej konfrontacji, zrodziła postawę okopywania się na swoich pozycjach. Co charakterystyczne, w miarę upływu czasu i narastania kryzysu irackiego w kontaktach między Warszawą a Paryżem i Berlinem coraz mniej było dyskusji politycznej, a coraz więcej medialnej. Symbolami tego stała się uwaga prezydenta Chiraca pod adresem m.in. Polski, w związku z podpisaniem przez nią „listu 8” oraz sprawa rakiet „Roland”.¹³ Choć zatem do zderzenia w sprawie Iraku musiało dojść ze względu na wykluczające się podejścia z jednej strony Polski, z drugiej Francji i Niemiec, to na uwagę zasługiwał przede wszystkim fakt, iż obie strony zdawały się tym zupełnie nie przejmować. Po stronie francusko-niemieckiej był to wyraz przekonania, że z Polską nie ma o czym rozmawiać – założenie, które zemściło się kilka miesięcy później w Brukseli - po stronie polskiej zaś, że gra z Waszyngtonem jest bardziej opłacalna niż domaganie się posłuchu w Europie. Oczywiście w dyskusji każdy zwracał uwagę, iż do pewnych rzeczy nie doszłoby, gdyby ktoś wcześniej czegoś nie zrobił lub zrobił, tyle że zawsze wcześniej coś się działo. Idąc tym tropem – co jest w Polsce zajęciem dość popularnym – spięcie z Francją można by tłumaczyć jej postawą w 1939 r., a zachowanie Polski – o czym z kolei często piszą publicyści niemieccy czy francuscy – rolą Kościuszki w historii USA i 10 milionową diasporą polską w Ameryce Północnej. W ten sposób każdy udaje, że wie co było przyczyną sporu, aż do pojawienia się kolejnego. O ile jednak problemem polskim jest polityczny fatalizm („i tak nas oszukają”), o tyle we Niemczech, a jeszcze bardziej we Francji, brak chęci zrozumienia motywów i sytuacji Polski.

¹³ Fakt odkrycia rakiet został pokazany w CNN z komentarzem wskazującym na francuskie złamanie embarga. Gdy sytuacja wyjaśniła się, CNN nie sprostował wcześniejszej informacji, co biorąc pod uwagę nastawienie opinii publicznej w USA do Francji było kolejnym ciosem w relacje Euroatlantyckie. To pokazuje w jaki sposób brak profesjonalizmu i wynikające z niego „wpadki” mogą pośrednio w sposób negatywny przyczyniać się do wzmocnienia stereotypów w skali światowej.

„Weimar” jako instytucja i „Weimar” jako sposób myślenia

Innym problemem, który ujawnił Irak, jest słaba, lub wręcz jej brak, infrastruktura polityczna między Polską, Francją i Niemcami. Na szczycie oficjalnym tworzy ją teoretycznie Trójkąt Weimarski. Teoretycznie, ponieważ nie odegrał on żadnej istotnej roli ani przy rozszerzeniu NATO, ani UE, o Iraku nie wspominając. Nie pełni on też żadnej roli przy reformie obu organizacji, ani uzgadnianiu działań wobec państw czy regionów spoza Unii. Obecnie – pod wpływem doświadczeń irackich i brukselskich – pojawia się szansa, aby było inaczej, ale pod warunkiem, że oczekiwania będą skrojone na miarę możliwości, a różnice będą otwarcie i wczesnie artykułowane. Do tego potrzeba zaś woli politycznej, której przez lata nie było głównie, choć nie tylko, we Francji; panowania nad emocjami, z czym zwłaszcza Polska miała problemy, i znajomości odpowiednich rozmówców po każdej ze stron. Złudzeniem wydaje się być natomiast wiara, iż forum weimarskie może funkcjonować w oparciu o wspólne interesy, ponieważ omijają one istotę problemów. Wszyscy chcą przecież silnej UE, dobrych relacji euroatlantyckich i demokratycznej Rosji. Różnice są, paradoksalnie, o wiele ciekawszym polem do współpracy i nie pozostawiają miejsca na pozorowane kompromisy. Tych pierwszych zaś jak do tej pory nie brakowało, a pojawić się mogą kolejne, np. związane z polityką Unii wobec konfliktu izraelsko-palestyńskiego, w którym Francja występuje w roli adwokata aspiracji palestyńskich, Polsce zaś bliżej do rozumienia racji izraelskich, na co z resztą liczy się w samym Izraelu.¹⁴

Nie wydaje się jednak celowe programowanie Weimaru pod kątem konkretnych spraw takich jak wspólna polityka rolno, obronna czy polityka wschodnia. Ich pojawianie się powinno wynikać z dynamiki europejskiej dyskusji, a ta nie zawsze przecież musi prowadzić do szukania rozwiązań na poziomie tego akurat forum. Dla przykładu, miejscem z którego zapewne wychodzić będą konkretne inicjatywy wobec Kaliningradu i współpracy w regionie Morza Bałtyckiego będzie współpraca z Niemcami, krajami nordyckimi oraz bałtyckimi. Dla Francji nigdy nie będzie to bowiem sprawa tak istotna jak wspomnianych państw. Dobrze byłoby jednak, aby Paryż miał nie tylko świadomość podejmowanych tam działań, ale i sprzyjał im na forum np. Rady UE czy Komisji. W przeciwnym razie może dochodzić do napięć na tle finansowania projektów czy też relacji z Rosją. Podobną rolę powinna pełnić Polska w stosunku do wymiaru śródziemnomorskiego, który z kolei ma priorytetowe znaczenie dla Francji.

Innym przykładem na niepokrywanie się formuły Weimaru z istotnymi kwestiami polityki europejskiej jest wspólna polityka obronna. W projekcie tym współpraca trójstronna może i powinna przede wszystkim służyć wyjaśnianiu stanowisk i politycznym konsultacjom.

¹⁴ Zob. M. Kozłowski, *Izrael liczy na Polskę*, „Tygodnik Powszechny”, 01.02.04

Nigdy zaś nie będzie ona miejscem istotnych decyzji w sprawach *stricto* militarnych i polityki zbrojeniowej. Zdecyduje o tym nie tylko brak w niej Wielkiej Brytanii, ale i fakt utworzenia Europejskiej Agencji Zbrojeniowej, której prace będą mieć tu zasadnicze znaczenie.

Podsumowując, Trójkąt Weimarski ma szansę istnieć bardziej jako figura retoryczna, sposób myślenia o tym, jak mimo różnorodności ocalić europejską spójność przed rozpadem na „południe”, „zachód” i „wschód”, oraz europejską solidarność w wymiarze polityczno-finansowym, niż był instytucjonalny, organizujący polską politykę w Europie. To samo dotyczy idei rozszerzenia Weimaru o Wielką Brytanię, co niegdyś zasugerował był prezydent RFN Richard von Weizsäcker. Geometria polityczna może bowiem jedynie odzwierciedlać rzeczywistość, nigdy jej natomiast nie stworzy.

IV. Unia Europejska czy NATO?

Kryzys iracki pokazał także koszty, które w wyniku rywalizacji politycznej ponoszą dwie główne instytucje świata euroatlantyckiego odpowiedzialne za więzi między USA a Europą (NATO), oraz polityczną spójność tej ostatniej (UE). Paradoksem zaistniałej sytuacji było to, iż ciosy w obie organizacje wymierzały akurat te państwa, na których spoczywa szczególny ciężar odpowiedzialności za ich kondycję.

USA po raz kolejny osłabiły sojusz odrzucając z gruntu już nie tylko udział, jak miało to miejsce w Afganistanie, ale już same opinie sojuszników na temat sposobu postępowania wobec Iraku. W konflikcie irackim NATO było bowiem podzielone na tych, którzy kwestionowali argumentację amerykańską i tych, którzy wyszli z założenia, że kwestionowanie nie ma sensu, ponieważ Waszyngton i tak doprowadzi do uderzenia. Zamiast zatem płakać nad rozlanym mlekiem lepiej starać się odnaleźć w nowej sytuacji. Także spór nad udzieleniem pomocy Turcji w ramach art. 4 traktatu waszyngtońskiego był bardzo złym, ale zarazem pouczającym sygnałem, ukazującym stawkę sojuszniczego egoizmu. Naprzeciw siebie stanęło bowiem prawo Turcji do zwrócenia się o pomoc w obliczu przeczuwanego zagrożenia oraz ewentualność uwikłania sojuszu w wojnę, co do której część sojuszników nie była przekonana. O ile więc niedopuszczalne jest kwestionowane przez członków NATO faktu, że Turcja czuła się zagrożona – co jest zawsze kwestią subiektywnej oceny – o tyle z drugiej strony, oczywiste było, że jakkolwiek atak na Turcję ze strony Iraku nie nastąpiłby przed atakiem USA (byłby to doskonały powód do *casus belli*), a to było przecież istotą sporu. Udzielenie pomocy Turcji równałoby się tym samym *de facto* zgodzie na amerykańską interwencję.

Z kolei Francji i Niemcom udało się skutecznie podminować ideę wspólnej europejskiej polityki bezpieczeństwa i obrony (WEPBiO) czyniąc z niej instrument własnych

doraźnych celów politycznych. Zamiast wspólnego namysłu i starań, aby złagodzić negatywne konsekwencje wyboru odmiennych dróg przez europejskie stolicy, Paryż i Berlin doprowadziły do sytuacji absurdalnej: oto w kwietniu 2003 roku odbywa się szczyt, którego uczestnicy – obok wspomnianych państw także Belgia i Luksemburg – wydają kuriozalne deklaracje mające na celu zawiązanie unii obronnej. Ponieważ jest oczywiste, że w przypadku tych czterech państw unia obronna nie ma praktycznie znaczenia, była to czysta manifestacja antyamerykańska. Była ona jednak ciosem w WEPBiO, w projekt który jest niezwykle ważny dla całej Europy, jeśli ma ona nie tylko ustrzec jej państwa przed pokusą podążania własną drogą w polityce obronnej, ale i zwiększyć pozycję wobec USA. Ukrytą miarą sukcesu lub fiaska tej idei jest jednak coś jeszcze innego, czego Francja i Niemcy zdają się nie dostrzegać: stworzenie politycznych i instytucjonalnych mechanizmów łagodzenia napięć w polityce bezpieczeństwa między starymi a nowymi członkami.

Nowe rozdanie polityczne czy korekta kursów?

Co sytuacja ta może oznaczać dla Polski? Przede wszystkim poważne wyzwanie polityczne i konieczność bardzo starannego planowania działań. Z jednej strony, polityka polska chce możliwie harmonijnej współpracy euroatlantyckiej i silnych instytucji, z drugiej zaś nie jest w stanie w sposób zasadniczy wpłynąć na głównych aktorów dramatu i pohamować ich destrukcyjnych zapędów. Problem sprowadza się zatem do tego, jak rozpoznać czy obecne przesilenie jest już wstępem do nowego rozdania politycznego, w którym role pisane są na nowo a stare instytucje pomatu odchodzą w przeszłość, czy też jedynie chwilowego rozejścia się kursów, które za jakiś czas zejdą się ponownie. Czy widząc zatem głęboką przemianę podejścia USA do NATO i Europy należy szykować się na życie w przestrzeni pozbawionej amerykańskiej strategii, czy też – biorąc pod uwagę niepokojące sygnały płynące z centrum kontynentu – trzeba jeszcze mocniej związać się z USA? Czy chcąc Europy solidarnej i pozbawionej wewnętrznych kręgów – cokolwiek miałyby one w praktyce oznaczać – należy ze wszystkich sił blokować rozwiązania idące w przeciwnym kierunku, czy też założyć, że jest to polityczna walka z wiatrakami i zamiast tracić siły rozsądniej przyłączyć się do „uciekających”? Złe rozpoznanie sytuacji może przynieść nieodwracalne szkody. Politycy nigdy nie chcą jednak dokonywać tego typu wyborów, uważając że najlepszą strategią jest takie jedzenie ciastka, aby go w ogóle nie ubywało. Plaga „konstruktywnej wieloznaczności” konstrukcji politycznych i instytucjonalnych stworzonych w UE i NATO lub pomiędzy nimi w ciągu ostatnich kilku lat jest tego bezpośrednią konsekwencją. Problemów politycznych nie można bowiem rozstrzygnąć za pomocą nowych procedur i kolejnych gremiów. Dlatego Polska nie powinna koncentrować

się na aspektach instytucjonalnych rywalizacji UE i NATO, lecz ich politycznym podłożu. Nie stoimy bowiem przed wyborem albo silny sojusz albo silna europejska polityka obronna, lecz albo obie rzeczy naraz, albo sojuszu atlantycki – w swym wymiarze polityczno-militarnym – zacznie się rozpadać.

Ten fałszywy dylemat wynika w dużej ze sposobu analizowania europejskiej polityki obronnej. Przez lata odnoszono jej rozwój – proces polityczny, instytucjonalny i militarny - do NATO definiowanego w kategoriach statycznych, jako stałej wartości charakteryzującej się stabilnym politycznym i militarnym zaangażowaniem USA, rozbudowaną i sprawną infrastrukturą oraz jasno zdecydowanym celem istnienia. Ów obraz był dodatkowo zafałszowany twierdzeniem, iż NATO ma zdolności i zasoby, których UE nigdy mieć nie będzie. Tymczasem jedna i druga organizacja dysponuje wyłącznie tymi zasobami, które udostępniają im państwa członkowskie. Owa instytucjonalna logika prowadziła do nie potwierzonego w praktyce twierdzenia, iż Sojusz jest lepszym miejscem do rozwoju zdolności militarnych niż UE. Jak do tej pory historia zadała temu kłam: począwszy od 1999 zarówno natowska Inicjatywa Zdolności Obronnych (DCI) jak i unijny Europejski Cel Obronny (EHG) nie zostały zrealizowane.

Brak wspólnej perspektywy patrzenia i oceny zjawisk zachodzących w UE i NATO przeszkadza także w uświadomieniu sobie, że słabość sojuszu jest funkcją słabości UE i na odwrót. To samo dotyczy siły militarnej obu organizacji: gdyby UE wpisała to swych zadań tradycyjnie rozumianą obronę zbiorową stałaby się niemalże z dnia na dzień poważną organizacją militarną, bowiem dysponowałaby ogromną siłą ognia. Względna przewaga Sojuszu wynika zaś z dwóch rzeczy, po pierwsze zaangażowania USA, po drugie dysponowania instytucjonalnym „know-how”, które NATO rozwinęło przez pół wieku swego istnienia. Główny problem sprowadza się zatem do jednego pytania: czy to co przez lata stanowiło o potęgę NATO – amerykańskie przywództwo i militarne zasoby – jest nadal aktualne. Takie ustawienie dyskusji pokazuje bowiem prawdziwe różnice, oraz szanse i zagrożenia związane z przyszłością Sojuszu i budową europejskiej polityki obronnej.

NATO: między „maszynką do głosowania” a „forum spraw nieistotnych”?

Dla NATO – rozumianego jako sojusz polityczny, a nie infrastruktura do prowadzenia różnego rodzaju działań – najbardziej niebezpieczne są dwie sytuacje. Pierwsza to taka, w której Rada Północnoatlantycka przestanie być forum wypracowywania kompromisu, a stanie się miejscem głosowań nad wcześniej uzgodnionymi i nie podatym na jakiegokolwiek zmiany stanowiskami. Z jednej strony znajdować się będą USA, z drugiej trio francusko-niemiecko-belgijskie, a pomiędzy nimi reszta sojuszników, która stanie nie tylko przed

dylematem 'mama-tata', ale i świadomością, że nie udzielenie poparcia jednej ze stron sporu może zakończyć się faktycznym porzuceniem przez nie organizacji. Druga natomiast wiąże się z niechęcią głównych sojuszników do wnoszenia na forum sojuszu spraw o zasadniczym znaczeniu dla bezpieczeństwa euroatlantyckiego, które z natury rzeczy budzą najwięcej emocji. W ten sposób NATO nie przeżywałoby zapewne większych wstrząsów, zajmując się jednak sprawami drugorzędnymi. Na ile scenariusz taki wydaje się być prawdopodobny?

Jest on niestety całkiem realny, ponieważ od kilku lat ze strony obecnej administracji amerykańskiej górę bierze instrumentalizm podejścia do Sojuszu. Jest on brany pod uwagę tylko wtedy, gdy istnieje szansa na pozyskanie narodowych flag do operacji, aby zapewnić im większą legitymizację, i tylko w takim względzie, aby sojusznicy nie krępowali swobody działania. Podobne myślenie pojawia się też w polityce niektórych sojuszników europejskich, głównie Francji. W tym wypadku niechęć do używania NATO w operacjach wojskowych i do zajmowania się problemami politycznymi wynika z obawy, iż jest to równoznaczne z poddaniem się kontroli USA. Stąd też bierze się nacisk na rozwijanie przez UE własnych gremiów i strategii. Te dwa skrajne podejścia – które o czym warto pamiętać są także przedmiotem krytyki w obu państwach – mają tendencję do wzajemnego wzmocniania się popychając sojusz i Unię w stronę rywalizacji o przywództwo. Choć w Polsce zwykło się ją widzieć wyłącznie w kategoriach wyścigu UE z NATO, nigdy na odwrót, w rzeczywistości są dwa równoległe procesy. Gdyby nie amerykańskie wahania i wysyłanie sprzecznych sygnałów w odniesieniu do Sojuszu i roli w nim Europejczyków, rozwój europejskiej polityki bezpieczeństwa i obrony nigdy nie zaszedł by tak daleko. Co więcej, gdyby Francja wykazała więcej rozsądku, politycznej woli i przezorności myśląc o rozwoju europejskiej polityki obronnej w kategoriach całej Europy, a nie tylko jej kawałka, amerykańskie wyhamowywanie dynamiki WEPIBO za pomocą NATO miałyby mniej szans na powodzenie. W konsekwencji obecnej sytuacji już wkrótce może zacząć dochodzić do zderzania się NATO i UE w działaniu politycznym. Obie organizacje, wykazują bowiem zainteresowanie dokładnie tymi samymi obszarami globu mając jednak nie do końca zgodne strategie działania, choć w dużej mierze – co jest paradoksalne – tych samych członków. Pomysły na podział ról zarówno w pod kątem geograficznym – Europa zajmuje się Afryką, a USA Bliskim Wschodem - jak i funkcjonalnym – USA zapewnia siłę militarną i polityczny nacisk, a UE finansowanie projektów – nie tylko nie mają żadnych szans na realizację, ale są po prostu nieracjonalne. To dynamika polityczna będzie decydować o tym, która organizacja będzie zdolna do działania. Dialog i współpraca – choć brzmi to banalnie – są zatem niezbędne, aby napięcia te nie przeradzały się w głębsze kryzysy strukturalne.

Wspólna polityka obronna Europy zachodniej?

Z drugiej strony, przyglądając się treści a także formule dyskusji, jaka rozpoczęła się w Europie po Iraku na temat kwestii bezpieczeństwa coraz wyraźniej rysuje się ryzyko pozostania Polski i reszty państw przystępujących do UE poza inicjatywami w rodzaju „grup bojowych” czy współpracy wywiadowczej. Po pierwsze, są one wyłącznie skoncentrowane na problemach Europy zachodniej, po drugie – co jest tego bezpośrednią konsekwencją – nie przewidują aktywnego udziału nowych członków. Efekty takich działań – zakładając, że nie są one jedynie wynikiem potrzeby pokazania, że „coś się robi” – mogą być bardzo niebezpieczne. Osłabiają one bowiem i tak nadwątlony mocno polityczny fundament rozszerzania UE. Takie podejście jest receptą już nie tylko na zrezygnowanie ze starań i stworzenie wspólnej (w znaczeniu: pojedynczej) polityki wobec świata zewnętrznego, ale i prokurowanie kolejnych napięć. O ile zrozumiałe jest, że w UE 25 państw nie wszyscy muszą chcieć robić te same rzeczy, ponieważ nie dotyczą one ich w taki sam sposób, ważna jest metoda i styl działania w zarysowującej się wzmocnionej współpracy w polityce bezpieczeństwa i obronnej. Współpraca ta musi być otwarta na chętne państwa, ale nie w znaczeniu formalno-prawnym, choć ono jest też istotne, ale w sensie politycznym. Jeśli oczekuje się od nowych członków współdziałania w polityce wobec Afryki czy Bliskiego Wschodu, to naturalną kolejną rzeczą powinna być gotowość do poparcia ich w sprawach związanych z obszarem b. ZSRR. Konkretnie: potencjalnym obszarem działania Europejskich Sił Szybkiego Reagowania ma być nie tylko Kongo, ale i Mołdawia. Z drugiej strony, państwa chcące dołączyć do takiej współpracy muszą mieć na względzie konkretny interes, a nie wyłącznie prestiż. W przeciwnym razie nie będą w stanie wnieść niczego istotnego domagając się natomiast posłuchu. Na to nikt się nie zgodzi. I słusznie.

Brak politycznych mechanizmów radzenia sobie z odmiennym postrzeganiem wielu zjawisk i różnicami politycznymi w UE będzie wzmagał presję na amerykańskie interwencje polityczne, a być może nawet i wojskowe, jeśli lekcja jugosłowiańska pójdzie w zapomnienie. Tyle że ta zdolność USA do efektywnego wpływania na politykę europejską będzie najprawdopodobniej słabnąć. Rola „pacyfikatora europejskich sporów”, o której 20 lat temu pisał na łamach „Foreign Policy” Josef Joffe¹⁵, została ostatecznie podważona wydarzeniami wokół kryzysu irackiego. USA mogą i powinny brać aktywny udział w europejskich dyskusjach, ale ich wpływ będzie zależał od gotowości do kompromisu i zmiany stylu działania. Jednocześnie mało prawdopodobne jest, aby siła tego wpływu był tak duża jak jeszcze w latach 90-tych ubiegłego wieku. Świadome budowanie podziałów i myślenie w

¹⁵ *Europe's American Pacifier*, Foreign Policy, vol. 68, 1984.

kategoriach „dezagregacji Europy” – przy jednoczesnym składaniu amerykańskiego parasola nad kontynentem – przyniesie zaś wyłącznie negatywne skutki.

Dla Polski, która nie jest w stanie dokonać zasadniczego wpływu na kierunek ewolucji NATO i europejskiej polityki bezpieczeństwa i obronnej oznacza to potrzebę zrównoważenia perspektywy natowskiej i unijnej. Patrzenie na ewolucję stosunków euroatlantyckich przez pryzmat wyłącznie NATO i sojuszu z USA może mieć negatywne skutki, zawężając pole manewru polskiej dyplomacji. **Stawką nie jest bowiem przeżycie struktur organizacji, ale ich zdolność do zajmowania się problemami swych członków.** I tylko ten aspekt powinien decydować o tym, kiedy i w jaki sposób Polska będzie wspierać NATO a kiedy UE. W praktyce oznacza to konieczność odmitologizowania NATO i dowartościowania UE w wymiarze polityki bezpieczeństwa i obronnej. Paradoksalnie bowiem, komfort członkostwa w NATO działa usypiająco, podczas gdy nieustające boje w UE zmuszając do nieustannego wysiłku intelektualnego, a tym samym ograniczają polityczne ryzyko zbyt późnego dostrzeżenia nowych zjawisk. Dlatego decyzja o przystąpieniu Polski do tzw. „współpracy strukturalnej” w polityce obronnej jest ze wszech miar słuszną, ponieważ stwarza doskonały punkt obserwacyjny tego co czeka w najbliższej przyszłości obie organizacje. Poza dyskusją wydaje się być także założenie, iż wpływ Polski na polityczną ewolucję UE będzie bez porównania większy, niż na przyszłość NATO.

V. Jaka armia?

Myśląc o Iraku nie można uciec od pytania o przyszłość polskich sił zbrojnych: zarówno ich kształtu i „jakości”, jak i funkcjonowania w układzie sojuszniczym. Wbrew wielu obawom dotychczasowa działalność wojsk polskich w Iraku oraz sposób sprawowania dowództwa w strefie stabilizacyjnej są powodem do satysfakcji. Nie można jednak poprzestać na samozadowalaniu się postawą polskich żołnierzy. Operacja iracka ukazała bowiem także, iż lata 90-te nie zostały w dużej mierze wykorzystane dla przemian w armii. Choć wojsko jest z natury rzeczy instytucją o nastawieniu konserwatywnym a przemiany po 1989 r. nie służyły stabilizacji w jej reformowaniu niepokoi fakt, że 150 tysięczna armia z trudem wystawia 2500 kontyngent, a następnie zapewnia mu rotację. Jeżeli wierzyć opiniom prasowym problemy dotyczyły już samego pozyskania odpowiednio przygotowanych osób, a następnie skompletowania odpowiednich jednostek i ich wyposażenia. Zdaniem Sławomira Petelickiego polscy żołnierze „mają wiele odwagi i zapału, ale są składanką różnych jednostek, to ludzie nie w pełni wyszkoleni, w jakimś sensie amatorzy.”¹⁶ Nawet jeżeli rzeczywistość nie była aż tak zła, problemem było bez wątpienia odpowiednie wyposażenie

¹⁶ W wywiadzie dla Gazety Wyborczej z 27.08.2003

wojsk, ich przerzut, a także znalezienie środków finansowych na pokrycie kosztów operacji. Udało się to przy wsparciu rządu USA, pomocy logistycznej NATO, a także pieniędzy z rezerwy rządowej. Co więcej, oficjalne stanowisko MON głosi, iż koszty operacji irackiej w żadnej mierze nie odbiją się negatywnie na tempie i kształcie reformy polskich sił zbrojnych. Wiadomo już jednak, że wysiłek iracki mocno ograniczył możliwości polskiej armii pod kątem udziału np. w projekcie Sił Odpowiedzi NATO (NRF). Nie jest to na razie problem, ponieważ wojska te spełniają istotne zadania a polska jest jednym z większych kontrybutorów operacji pokojowych. Obecność w Iraku, na Bałkanach a także operacjach ONZ powoduje jednak, iż Polska zbliża się lub już osiągnęła pułap swych możliwości militarnych i finansowych związanych z operacjami „out of area”. Pytanie jakie rodzi się na przyszłość dotyczy jednego: jak spowodować, aby doświadczenia, kapitał ludzki oraz nowy sprzęt nie zostały zmarnowane oraz jak zwiększać potencjał bojowy armii. **Wydaje się bowiem, iż nie wszyscy wojskowi zdają sobie sprawę z faktu, że operacja iracka jest ostatnią szansą na przyspieszenie przemian w wojsku i tym samym ugruntowania jego pozycji społecznej i politycznej.** Choć jest to stwierdzenie bardzo niepopularne w kręgach wojskowych, to biorąc pod uwagę sytuację gospodarczą i społeczną w Polsce, wydatki na armię (zarówno związane z Irakiem, jak i zakupem nowego uzbrojenia) są bardzo duże, by nie rzec że przekraczają one obecne możliwości państwa polskiego. Aby nie okazało się zatem, że „lepiej już było”, fundusze te muszą zostać rozsądnie zainwestowane zarówno w kapitał ludzki jak i infrastrukturę sił zbrojnych. Niejasne powody podania się do dymisja dowódcy GROM-u są niestety sygnałem, że dzieją się rzeczy, które nie powinny mieć miejsca. Dlatego pierwszym probierzem dalszych przekształceń w siłach zbrojnych będzie los zawodowy tych, którzy w mieli odwagę i motywację do wyjazdu do Iraku.

Przede wszystkim – biorąc pod uwagę nie tylko Irak, ale cała lata 90-te – trzymanie się obecnej formuły armii: podziału na wojska operacyjne i wojska odpowiedzialne za obronę terytorialną jest pozbawione sensu. W ramach mocno ograniczonych możliwości finansowych Polska powinna dążyć do dalszego zwiększania profesjonalizacji, wyszkolenia i modernizacji armii kosztem jej wielkości. Siły zbrojne są dzisiaj bowiem w większym stopniu „aktywem” politycznym, niż instytucją odpowiedzialną za bezpieczeństwo narodowe, dla którego nie ma już bezpośrednich zagrożeń o charakterze militarnym. Jeżeli zaś takie pojawiły by się – np. w wyniku lokalnej destabilizacji na Wschodzie – to przeciwdziałanie im nie wymaga zasadniczo innych zdolności wojskowych, od tych które są niezbędne do działań w układzie sojuszniczym poza obszarem traktatu waszyngtońskiego.

Najwyższy też czas, aby poważnie zmierzyć się z kwestią powszechnego poboru, który w obecnym kształcie jest pozbawiony sensu, bo w żadnej mierze nie zwiększa potencjału bojowego. Nie oznacza to, że musimy mieć od razu armię zawodową, choć ten

kierunek zmian jest nieunikniony. Pobór powinien być jednak przede wszystkim przejawem odpowiedzialności obywateli za losy państwa, a tak obecnie nie jest. Dlatego zamiast brnąć w tradycyjne szkolenie, które jest w dużej mierze stratą czasu i pieniędzy, sensowniejsze byłoby przemyślenie czy ma ono współcześnie rację bytu, a jeśli tak to w jakim charakterze, aby korzyści dla obu stron były faktyczne, a nie teoretyczne. Chyba, że na drodze stoją problemy finansowe. Ale wtedy trzeba to głośno powiedzieć i zrezygnować z dorabiania fałszywej ideologii. Dyskusja nad problemem poboru i armii zawodowej pod kątem możliwości finansowych państwa jest zasadniczo inna od tej, za którą kryje się lęk przed Wschodem.

Osobnym problemem związanym z przyszłością polskich sił zbrojnych oraz polityki obronnej wiąże się z udziałem we współpracy wielostronnej. Kryzys iracki pokazał, że najpoważniejszy projekt związany z rozwojem tej współpracy – korpus Północ-Wschód w Szczecinie – jest zagrożony. Po pierwsze, Niemcy nie zgodziły się na wykorzystanie sztabu korpusu do misji stabilizacyjnej w Iraku. Był to wynik nie tylko różnic politycznych, ale również faktu, że korpus ten nie jest gotowy do podejmowania się tak dużych misji w krótkim czasie. Świadczy o tym zresztą status Szczecina w ramach Struktury Sił NATO (NATO Force Structure), w której jest on zgłoszony jako kwatera o tzw. niskiej gotowości (Low Readiness HQ). Warto zatem zastanowić się nad przyszłym polityczno-militarnym przeznaczeniem Szczecina, który do tej pory był głównie szykowany pod kątem misji art. 5, co czyni go mało użytecznym dla polskiej polityki zagranicznej. Tym bardziej, że z korpusu tego wycofuje się Dania. Jest to poważne osłabienie militarne i finansowe Kwatery, ale zarazem szansa na wykorzystanie Szczecina także pod kątem WEPBiO, co ze względu na duński 'opt-out' z polityki obronnej UE było do tej pory niemożliwe. Aby korpus ten nabrał znaczenia militarnego niezbędne jest jednak pozyskanie przynajmniej drugiego obok Niemiec partnera z Europy zachodniej. Korpus polsko-niemiecki, skoncentrowany na misjach art. 5 i rozszerzony o np. kraje bałtyckie pozostanie na marginesie wydarzeń w obszarze europejskiej czy natowskiej polityki obronnej. Polska powinna też poszukiwać szans na włączenie się do struktur wielonarodowych w Europie zachodniej przy okazji dyskusji na sztabem operacyjnym UE lub europejskim dowództwem transportu strategicznego. Integracja polskich sił zbrojnych z armiami sojuszników jest warunkiem do zarówno współdziałania w układzie natowskim i unijnym, jak i istotnym wkładem w politykę zagraniczną. Wymagać to będzie wprawdzie rezygnacji z pewnych zdolności obronnych i zdania się w tym obszarze na sojuszników, ale innej drogi w warunkach polskich nie ma. **Myśląc zaś nieustannie o najmniej prawdopodobnym scenariuszu, tj. pojawieniu się zagrożenia militarnego na granicy Polski, osłabia się bowiem potencjał obronny**

państwa pod kątem najbardziej możliwych zagrożeń, które pochodzą z rejonów oddalonych o tysiące kilometrów.

Warto więc było, czy nie?

Jaki jest zatem dotychczasowy bilans zysków i strat wynikających z udziału Polski w operacji irackiej? Sukces czy porażka, a może oba pospołu? Najbliższe prawdzie – która jest oczywiście kwestią subiektywnej oceny – wydaje się być stwierdzenie, iż bilans ten nie jest imponujący. Nie było bowiem ani ogromnego sukcesu, ani ogromnej porażki Polski. Jedynym jasnym punktem była sprawność wojskowa, która przekonuje, iż armia polska jest w stanie sprostać dużym wyzwaniom, mimo poważnych wciąż braków sprzętowych i przy dużej dozie improwizacji. Zostało to okupione ogromnym wysiłkiem organizacyjnym i finansowym, ale armia istnieje po to, aby nie uchylać się przed takimi wyzwaniami.

Ocena pozostałych aspektów jest już o wiele trudniejsza. Przede wszystkim dlatego, że nie ma dla niej stałego punktu odniesienia, co z kolei jest konsekwencją zaangażowania się Polski bez wyraźnie określonych oczekiwań. Jeśliby przyjąć, iż głównym motywem była chęć obalenia krwawej dyktatury można bez wątpienia mówić o zwycięstwie moralnym. Ten argument jest jednym z najsilniej oddziałujących na politykę zagraniczną Polski od lat. Podkreślając jego wagę trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że choć poprawia on samopoczucie, a także pozwala na łatwiejszą legitymizację działań, jest on niewystarczający, aby państwo mogło odnieść sukces. Historia Polski jest ciągiem zwycięstw moralnych okupowanych politycznymi porażkami. Choć zatem aspekt ten powinien stanowić punkt wyjścia dla wszystkich decyzji porzeczawanie na nim jest poważnym zaniedbaniem. Aby odnieść sukces trzeba mieć nie tylko czyste sumienie, ale i rację, do której następnie trzeba umieć jeszcze przekonać innych, a tego właśnie brakuje. Po pierwsze, nikt z oponentów USA nie kwestionował zbrodniczości reżimu stworzonego przez Sadama Husajna. Po drugie, administracja amerykańska eksponowała głównie te zarzuty, które jak do tej pory nie znalazły potwierdzenia. Stąd trudność politycznego zdyskontowania sukcesu wojskowego. „Irak” ma zatem duże szanse na przejście do historii jako jedynie manifestacja poparcia USA i to manifestacja, której cel strategiczny pozostaje nieznany. Co gorsza, ocierające się o szantaż domagania się od USA przyznania kontraktów dla polskich firm, a także sposób, w jaki Polska zaczęła domagać się zniesienia obowiązku wizowego, zdradzają, że także cele krótkofalowe nie zostały osiągnięte.

Na szczęście, tak długo jak operacja iracka trwa jako swego rodzaju fenomen polityczny, stanowiący punkt odniesienia dla dyskusji o Polsce i jej roli w świecie, istnieje szansa, aby „Irak” stał się jeszcze sukcesem. Nie finansowym, ale politycznym,

pokazującym, w którą stronę powinna zmierzać Polska, aby swój nagły przyływ znaczenia przekuć na wzmocnienie pozycji międzynarodowej. Z samego zaangażowania w Iraku nic nie wyniknie. Szeroki kontekst problemu pozwala jednak ujrzeć wiele rzeczy, leżących u podstaw polskiego myślenia w innym świetle. Nie chodzi o zmianę dla zmiany, o robienie czegoś tylko dlatego, że we współczesnej polityce „ruch” jest równie ważny, a niekiedy ważniejszy niż dobre pomysły. Chodzi o zadanie sobie pytań w sprawach uważanych za oczywiste, ponieważ siłą napędową wielu z nich nie jest już polityka, lecz zwykła inercja. Delektując się kaganowskim porównaniem Europy do Wenus a Ameryki do Marsa, trzeba więc mieć się na baczności. Ironią losu byłaby bowiem konstatacja, że Polacy są Księżycą i żyją w świecie oddalonym od ziemskich realiów. Dlatego na początek trzeba z góry założyć, że wojsko polskie musi pozostać w Iraku tak długo jak będzie tego wymagała sytuacja na miejscu. Przedwczesne wycofanie się lub oznaczanie już dzisiaj jego terminu będzie niczym innym, niż przyznaniem się do błędu. Jeśli tak miałyby się stać, to nie warto było jechać.

Marzec/Kwiecień 2004

Autor jest doktorantem na Wydziale Nauk Politycznych i Społecznych w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji. W latach 1998-2002 był pracownikiem Centrum Stosunków Międzynarodowych w Warszawie, gdzie m. in. opublikował razem z Marcinem Zaborowskim tom *Nowy członek „starego” sojuszu. Polska jako nowy aktor w euroatlantyckiej polityce bezpieczeństwa* (Warszawa 2002). Publikuje w „Tygodniku Powszechnym”, „Rzeczpospolitej” oraz „Polsce Zbrojnej”. E-mail: olaf.osica@iue.it

Czym jest Centrum Stosunków Międzynarodowych?

Centrum jest niezależnym, pozarządowym ośrodkiem zajmującym się polską polityką zagraniczną i najważniejszymi dla Polski problemami polityki międzynarodowej. Podstawowym zadaniem Centrum jest doradztwo polityczne, stałe monitorowanie działań rządu w polityce zagranicznej oraz opisywanie aktualnej sytuacji międzynarodowej Polski. W tym celu przygotowujemy raporty i analizy, organizujemy konferencje i seminaria, publikujemy artykuły i książki, prowadzimy projekty badawcze i grupy robocze. W ciągu naszej wieloletniej działalności udało nam się stworzyć grono stałych współpracowników oraz zbudować forum dyskusji o polityce zagranicznej dla polityków, parlamentarzystów, urzędników państwowych i lokalnych, dziennikarzy, naukowców, studentów i przedstawicieli innych organizacji pozarządowych. Uważamy, że wobec wyzwań, przed którymi stoi polska polityka zagraniczna, powinniśmy wspierać tego typu publiczną debatę w Polsce o polityce międzynarodowej. Założycielem i prezesem Centrum Stosunków Międzynarodowych jest Janusz Reiter.

Nasz adres:

UL. EMILII PLATER 25, 00-688 WARSZAWA

tel. (0048-22) 646 52 67, 646 52 68, 629 38 98, 629 48 69

fax.(0048-22) 646 52 58

e-mail: info@csm.org.pl

Zachęcamy do korzystania z naszej strony internetowej

www.csm.org.pl

Główni sponsorzy CSM:

- Fundacja Forda
- Fundacja im. Stefana Batorego
- Fundacja Konrada Adenauera w Polsce
- German Marshall Fund of the United States
- Robert Bosch Stiftung
- Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej
- Haniel Stiftung
- PAUCI
- Bank Przemysłowo-Handlowy PBK S.A.
- West LB Polska S.A.

Projekty realizowane przez Centrum były wielokrotnie wspierane finansowo także przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwo Obrony RP.

Wszystkie „Raporty i Analizy” dostępne są w wersji on-line na stronie internetowej Centrum Stosunków Międzynarodowych

www.csm.org.pl

Osoby zainteresowane regularnym otrzymywaniem „Raportów i Analiz” pocztą elektroniczną prosimy o przesłanie swoich danych na adres info@csm.org.pl lub faks +48 22 646 52 58. „Raporty i Analizy” są dostępne bezpłatnie.